

Patrząc wstecz

Andrzej Nowak

Wolne i wspólne obieranie pana sobie

(z V tomu *Dziejów Polski*)

„Nie nowina-ć to była u przodków naszych, że królowie polscy marli i mrzec muszą, ale tak rozumieli, że Rzplta ich była i być ma nieśmiertelna. O toż się tedy zawsze starali, zwłaszcza przed takimi przypadki niebezpiecznymi i taki nam wcale porządek do ręku podali, a to jest największy fundament a prawie jako korzeń, na którym wszystkie wolności nasze kwitną i krzewią się: wolne i wspólne obieranie pana sobie, to jest nikt inny, jedno senatorowie ze wszystkim gminem i orszakiem stanu rycerskiego. [...] Opatrzywszy dobrze Rzpltą Matkę swą i wolności swe, snadnie nam zaś potym nasze gospodarstwo pójdzie. A nade wszystko proszę i dla Boga, abyście Wmość zaniechali i od serca swego oddzielili wszystkie wasze zajątrzenia, gniewy, odpowiedzi, a darowali to Ojczyźnie swej”. Tymi słowami *Uniwersał wojewody sandomierskiego najpierwszy dany do rycerstwa województwa sandomierskiego skoro po śmierci królewskiej* wprowadzał współobywateli w stan zagrożenia, który potraktowany został jako czas egzaminu: praktycznego egzaminu z rozumienia Rzeczpospolitej.

Kto ją tworzył, kto ów egzamin miał zdawać? – zapytajmy najpierw. Tylko stan szlachecki miał zagwarantowane prawa obywatelskie. Tylko i aż, bo więcej obywateli nie było wtedy (i długo jeszcze) w żadnym innym kraju Europy. W praktyce działanie systemu obywatelskiego opierało się na sejmikach. Wybierały posłów na sejm i tworzyły samorząd ziemski. W okrzepłej już na początku XVII wieku postaci nie tylko wybierały sędziów ziemskich, ale również decydowały o rozłożeniu w danej ziemi (powiecie) podatków uchwalonych przez sejm, wybierały i kontrolowały ich poborców, nakładały podatki wojewódzkie i rozstrzygały o wydatkach ze skarbu wojewódzkiego, uchwalały zaciąg żołnierza w powiecie. W Koronie było po unii lubelskiej 44 sejmiki. W tym 8 było w strzegących swej autonomii Prusach Królewskich (w województwach chełmskim, malborskim i pomorskim), 20 przypadało na Wielkopolskę (w tym 10 sejmików mazowieckich) i 16 na Małopolskę. Do tej ostatniej należały, po zmianach terytorialnych

wprowadzonych przy okazji unii lubelskiej w roku 1569, trzy sejmiki zachodniego Podlasia (ziemie bielska, drohicka oraz mielnicka), a także obejmujące całe województwa – sejmiki wołyński, braclawski i kijowski. W Wielkim Księstwie Litewskim, okrojonym o wspomniane ziemie, które na mocy decyzji Zygmunta Augusta przeszły do Korony, utworzonych zostało 21 sejmików powiatowych. Po późniejszych zwycięstwach nad Moskwą i odzyskaniu ziem utraconych na jej rzecz w XVI wieku, dojdą do Litwy jeszcze sejmiki województw połockiego i smoleńskiego (w nim odrębny jeszcze sejmik powiatu starodubowskiego), powiększając liczbę sejmików Wielkiego Księstwa do 24, do których dodać można jeszcze osobny sejmik inflancki. Do Małopolski zostanie dołączony w czasach Zygmunta III Wazy na odzyskanej także od Moskwy ziemi czernihowskiej 45 sejmik koronny. Łącznie więc polityczne życie na prowincji toczyło się w 65–70 ogniskach sejmikowych. W każdym zbierało się przeciętnie 100–200 czynnych obywateli. W skali Rzeczypospolitej dawało to więc dziesięć, może kilkanaście tysięcy obywateli, uczestniczących względnie regularnie w debacie nad sprawami swojej ziemi, ale i szerszej, uznawanej za wspólną ojczyzny. Jak na około pół miliona mieszkańców Rzeczypospolitej stanu szlacheckiego płci obojga, to może nie tak wiele. Pamiętajmy jednak, że te szacunkowe dla roku 1572 pół miliona (a więc około 6,5% ogólnej wówczas liczby ludności Rzeczypospolitej) to właśnie obie płcie, a także dzieci: a kobiety i nieletni praw obywatelskich – podobnie jak we wszystkich innych krajach europejskich – nie mieli. Potencjalnych zatem, jeśli można tak powiedzieć, obywateli, czyli mężczyzn stanu szlacheckiego, było zatem pewnie nie więcej niż 150–180 tysięcy. Korzystało w pełni, świadomie i konsekwentnie z tych praw, w powołanej do tego instytucji, czyli na sejmiku, nie więcej niż 10 procent. Dużo czy mało? Powtórzmy – więcej aktywnych obywateli, rzeczywiście decydujących o sprawach swojej ziemi i współdecydujących o losach całego państwa, nie było w innych krajach Europy. Przy szczególnie ważnej decyzji: wyborze króla – mogła ta ilość, ta proporcja wzrosnąć jeszcze bardzo, wraz ze wzrostem zainteresowania

Zgodnie z utrwaloną już tradycją tzw. górne (to jest najważniejsze w historii Korony) województwa, a więc w Małopolsce krakowskie na sejmiku proszowickim oraz sandomierskie na sejmiku w Opatowie, zaś w Wielkopolsce poznańskie i kaliskie w Środzie wybierały po 6 posłów na sejm. Pozostałe sejmiki w Koronie i wszystkie na Litwie wybierały na ogół po 2 posłów. W ten sposób „gmin i orszak stanu rycerskiego” wybierał na wspólny od czasu unii lubelskiej, polsko-litewski sejm walny, niespełna 150 posłów (po odzyskaniu kolejnych ziem od Moskwy ta liczba nieco wzrosła). Reprezentowali jeden z trzech stanów sejmujących. Pierwszym był król, drugim senat – zgromadzenie najważniejszych urzędników duchownych i świeckich, mianowanych przez króla i dożywotnio sprawujących senatorski mandat. Trzecim właśnie izba poselska, reprezentująca *demos*, czyli „lud” szlachecki. Razem trzy owe stany składały się na ustrój monarchii mieszanej – *monarchia mixta*. W mowach i pracach drukowanych już w wieku XVI

tak właśnie interpretowano model ustrojowy Rzeczypospolitej. Świadomie nawiązywano do poznawanych na Uniwersytecie Krakowskim czy w zagranicznych uczelniach wzorów antycznych. Dostarczała ich *Polityka* Arystotelesa, a jeszcze bardziej dialogi Cyserona, sławiące Rzym republikański jako przykład dobrze funkcjonującego ustroju mieszanego: gdzie konsulowie reprezentowali władzę monarchiczną, senat – element arystokratyczny, a *concilia plebis* (zgromadzenia ludowe) – element demokratyczny. W Rzeczypospolitej odpowiednio stanowić miały tę potrójną równowagę właśnie król, mający zapewnić zalety stabilnej i sprawnej, bo jednoosobowo zarządzanej egzekutywy, dalej senat – doświadczona w radzie elita i wreszcie izba poselska – demokratyczna reprezentacja, choć do jednej tylko, jakkolwiek licznej grupy społecznej ograniczona. Wspólnie trzy te „stany” tworzyły dopiero Sejm – „mieszana” władzę najwyższą Rzeczypospolitej. Do spopularyzowania tej wizji rzeczpospolitej szlacheckiej jako nowego Rzymu czasów Cyserona przyczynił się swym wydanym w roku 1568 w Wenecji dziełem, *De optimo senatore* (*O senatorze doskonałym*), sekretarz królewski, późniejszy biskup poznański, Wawrzyniec Goślicki. O tym bestsellerze europejskiej myśli politycznej pisaliśmy już w poprzednim tomie. Tu dodajmy, że jeszcze przed Goślickim, swą neorepublikańską wizję ustroju przedstawił młodzieńcy (urodzony w roku 1542) student uniwersytetu padewskiego, tam nawrócony z kalwińskiej wiary swych rodziców na katolicyzm, Jan Zamoyski, który w roku 1563 w Padwie właśnie wydał swe dziełko *De senatu Romano libri duo*. (O senacie rzymskim ksiąg dwoje).

Skoro króla w roku 1572 zabrakło i nie było już męskiego rodu Jagiellonów, z którego wybierano władców od blisko dwóch wieków, jako czynnik najważniejszy w Rzeczypospolitej, naprzeciw izby poselskiej, wysuwał się w tym szczególnym momencie właśnie senat. Dziedziczył tradycje dawnej rady panów, możnych Królestwa. Zasiadało w nim 15 biskupów, w tym dwóch arcybiskupów, gnieźnieński i lwowski. Ten pierwszy był także pierwszym w hierarchii senatorskiej. Wśród senatorów świeckich pierwsze miejsce należało się (od czasów hołdu w Krakowie w roku 1525) księciu Prus. Nigdy tego stanowiska jednak nie objął, z powodu sprzeciwu senatorów, którzy obawiali się sprzecznego z racją stanu Rzeczypospolitej wykorzystania tej godności przez dziedzicznego władcę z dynastii Hohenzollernów. W tej sytuacji pierwszym senatorem świeckim pozostawał kasztelan krakowski, za nim zaś około 60 tzw. senatorów większych, czyli wojewodów oraz kasztelanów ważniejszych historycznie grodów. Do tego jeszcze zasiadało w senacie mniej więcej drugie tyle kasztelanów mniejszych, czyli mniej prestiżowych miast (m.in. Warszawy). Tę grupę nazywano senatorami drażkowymi – od wąskich ław pod ścianą, zajmowanych przez nich w czasie obrad, w odróżnieniu od zasiadających w centrum obrad, na wygodnych krzesłach, senatorów większych. Naprzeciw króla w senacie ulokowani byli ministrowie, w podwójnym składzie, osobno po jednym dla Litwy i dla Korony: marszałkowie wielcy, kanclerze wielcy, podkanclerzy, podskarbiowie, marszałkowie nadworni. Hetmani nie wchodzili do

senatu – w każdym razie nie z tytułu tego urzędu (hetman mógł być jednak zrazem np. wojewodą czy kasztelanem i tak zdobyć senatorskie krzesło). Łącznie więc senatorów było mniej więcej tyłu, co wybranych na sejmikach posłów.

Powaga urzędów, tradycja, a przede wszystkim znaczenie i siła, i koligacje rodów reprezentowanych często przez pokolenia w senacie zdawały się przesądzać o oczywistej przewadze tej izby nad poselską. Dlaczego jednak senat Rzeczypospolitej Obojga Narodów nie przekształcił się w stan *de iure*, prawnie oddzielając się od „zwykłej” szlachty? Dlaczego nie wyodrębniła się w Polsce arystokracja, a tworzyła się w ostatniej ćwierci XVI wieku faktycznie swoista elita władzy, przez historyków nazywana od dawna magnaterią? Odpowiedź na te pytania, postawione niedawno w nowatorski sposób przez Leszka Kieniewicza w jego pracy o senacie czasów Stefana Batorego, znajduje się – tak jak rozstrzygnięć w wielu innych kluczowych kwestiach praktycznych ustroju Rzeczypospolitej – w czasie pierwszych bezkrólewia po 1572 roku. Spróbujmy je tutaj odsłonić.

Zacząć trzeba od przypomnienia długoletniej walki, jaką szlachta koronna, skupiona w tzw. ruchu egzekucji praw i dóbr (szeroko przez nas opisywanym w poprzednim tomie), stoczyła w czasach Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta przeciwko dominacji senackich „panów”. W ostatnim dziesięcioleciu panowania ostatniego Jagiellona współpraca izby poselskiej z królem doprowadziła wreszcie do istotnych sukcesów tego ruchu – i do wspólnego dobra Rzeczypospolitej, z unią lubelską na czele. Najsilniej zakorzenił się ten ruch w szlachcie małopolskiej, w województwach krakowskim i sandomierskim, na sąsiednich sejmikach chełmskim, bełskim i ruskim (tam sejmik zbierał się w Sądowej Wiszni). Wśród średniozamożnej szlachty małopolskiej trzon tego ruchu stanowili przez długi czas ewangelicy reformowani (kalwini), z „polskim Demostenesem” na czele, wielokrotnie wybieranym na marszałka izby poselskiej sejm, Mikołajem Sienickim, podkomorzym chełmskim. W „szkole” egzekucjonistów dojrzywała kultura polityczna, której cechą nadrzędną było odwoływanie się do prawa. Prawu Rzeczypospolitej mieli być podporządkowani i król, i wszyscy obywatele: możni panowie z senatu, i „stan rycerski”. I Kościół katolicki. Wiara w zdolność tworzenia porządku poprzez prawo, w którego uchwalaniu uczestniczą obywatele, była istotnym elementem krajobrazu politycznego pierwszego bezkrólewia. Z niej i z opartego na niej poczucia odpowiedzialności za los osieroconej Rzeczypospolitej wynikało, że spory – między katolikami a protestantami (liczna, prawosławna część obywateli nie tworzyła w tym momencie politycznego problemu), między protestancką większością ze zgody sandomierskiej a braćmi polskimi, między senatem a izbą poselską, Koroną a Litwą, a także Wielkopolską i Małopolską (ważnymi wciąż tradycjami dzielnicowych odrębności) – nie przerodziły się w wojnę domową. W innych krajach, w podobnym przypadku, wygaśnięcia starej dynastii, opróżnienia tronu, wybuchały nieuchronnie długotrwałe i wyniszczające konflikty wewnętrzne, rozstrzygane ostatecznie z bronią w ręku. Fenomen polskiego bezkrólewia ujawnił szybką zdolność do obywatelskiej samoorganizacji w obliczu kryzysu

i „ucierania” na kolejnych zjazdach regionalnych i międzyregionalnych – w dyskusji, z pismem i argumentem, a nie z szablą w ręku – wspólnego i akceptowanego przez większość stanowiska.

7 lipca 1572 roku w Knyszynie zmarł, chory już poważnie od dłuższego czasu Zygmunt August. Nie było następcy, ani jasnej procedury jego wyłonienia. Sama śmierć monarchy nie była jednak zaskoczeniem. Przez moment wydawało się, że inicjatywę w nowej, groźnej dla Rzeczypospolitej sytuacji, przechwyci skutecznie Wielkopolska, senat, prymas – czyli „obóz katolicki”. 70-letni arcybiskup gnieźnieński, Jakub Uchański, może niezbyt wcześniej gorliwy szermierz katolickiej sprawy (skłaniał się niegdyś nawet ku idei Kościoła narodowego), ale dbał o pozycję swojego urzędu, wiedząc o pogarszającym się stanie zdrowia Zygmunta Augusta, zaplanował jeszcze w ostatnich dniach życia króla zjazd senatorów katolickich do swojej siedziby w Łowiczu. Chciał zapewnić sobie, jako prymasowi Kościoła w Polsce i pierwszemu senatorowi, pozycję interrexa, czyli zastępcy króla, do czasu wyboru nowego monarchy. Zjazd miał zagwarantować także przewagę senatu w procesie elekcji, zgodnie zresztą z tradycją, w której dotychczas to panowie Rady (Senatu) mieli realny wpływ na wybór monarchy, od czasu formalnego wyboru Władysława Jagiełły, a rola szlachty ograniczała się do zatwierdzenia decyzji zgodnym okrzykiem. Razem ze swoim energicznym kolegą z episkopatu, młodszym o 18 lat i znakomicie przygotowanym na dworze Zygmunta Augusta do roli męża stanu, biskupem kujawskim Stanisławem Karnkowskim, prymas wysłał list do nawróconego przez jezuitów na katolicyzm Mikołaja Radziwiłła zwanego Sierotką (syna wcześniejszego lidera obozu protestantów na Litwie, Mikołaja „Czarnego”), by przygotować wspólny zjazd senatorów. Karnkowski pragnął, by zainicjowany przez Wielkopolan i katolików zjazd senatorów miał charakter ogólnopolski (obejmujący łącznie Koronę i Litwę) i tym skuteczniej mógł ustalić czas, miejsce i warunki wyboru nowego władcy, narzucając swoje decyzje szlachcie. Tak się jednak nie stało. Przeprowadzony 16–25 lipca zjazd w Łowiczu uznał co prawda prymasa za interrexa. Postawił także zadanie sformułowania tych zasad ustrojowych, chroniących prawa i wolności Rzeczypospolitej (naprawdę chodziło o zabezpieczenie przewagi senatu), które wybrany król będzie musiał zaprzysiąc. Miała to zadanie wykonać komisja trzech senatorów, w tym jednego „innowiercy”, a następnie przedyskutować powinny specjalne sejmiki w poszczególnych województwach. Słabością zjazdu łowickiego było jednak to, że zgromadził tylko 30 senatorów, i to z samej Wielkopolski. Nie zaakceptowała jego postanowień ani wielkopolska szlachta, ani małopolscy senatorowie.

Równoległe ze zjazdem łowickim, od 14 do 24 lipca odbywał się zjazd Małopolan w Krakowie. Jego inicjatorem był marszałek wielki koronny, Jan Firlej, dzierżący także od niedawna urząd wojewody krakowskiego. 50-letni lider obozu protestanckiego w Koronie, dominował swą pozycją polityczną nad formalnie pierwszym senatorem świeckim, kasztelanem krakowskim, Sebastianem Mieleckim. Chciał nie tylko zablokować dążenia prymasa Uchańskiego do przyjęcia

funkcji interrexa, ale sam ją sprawować. Miał argumenty: siedzibę królewską i miejsce koronacji – Wawel – kontrolował za pomocą swojej marszałkowskiej zbrojnej straży, w liczbie 600 „drabów”. Dodatkowo poparcia marszałkowi udzielił kanclerz wielki koronny, Walenty Dembiński, jeden z przywódców obozu egzekucjonistów. Firlej uniknął też na początku błędu prymasa i zwołał na zjazd krakowski nie tylko senatorów, ale szlachtę. Stawiła się tłumnie, w liczbie podobno aż czterech tysięcy. W dużej części tworzyli to zgromadzenie zwolennicy reformacji, przeważający wśród najaktywniejszej obywatelsko, średniej szlachty w Małopolsce, nieufnie nastawieni do „obozu” katolickiego. Podjęli nawet – nieskuteczne – postanowienie o wydaleniu na czas elekcji legata papieskiego, Giovanniego Francesco Commendone. Najpierw wszakże radzili o zabezpieczeniu granic zewnętrznych Rzeczypospolitej i porządku wewnętrznego. W Krakowie zwrócono uwagę na obronę granicy od strony Cesarstwa – a więc węgierskiej (z dzisiejszą Słowacją) i śląskiej, umacniając je odpowiednio oddziałami po 400 konnych i pieszych. Nie zapomniano o wypłacie „upominków” dla chana tatarskiego i dorzuceniu pieniędzy wojsku w Inflantach. „Moskiewskiego” – czyli cara Iwana Groźnego – miało od nowej ofensywy przeciw Rzeczypospolitej powstrzymać poselstwo z propozycją pokoju wiecznego. Podobnie zamierzano poselstwem utrzymać bezpieczeństwo od strony imperium osmańskiego. Zgodnie z planem Firleja, ze zjazdu krakowskiego wyszło wezwanie do wspólnego zjazdu z senatorami wielkopolskimi, pruskimi, ruskimi i litewskimi w Knyszynie, przy spoczywającym tam wciąż zmarłym królu. Termin wyznaczono na 10 sierpnia.

Tymczasem jednak, przynajmniej chwilowo, inicjatywa zaczęła się wymykać z rąk pierwszych senatorów. Doświadczony przywódca ruchu egzekucjonistów, Mikołaj Sienicki, podkomorzy chełmski, zwołał na 17 lipca do Krasnegostawu zjazd szlachty swojego województwa. Wyciągnięto tam stary instrument obywatelskiego samorządu na czas nadzwyczajny: konfederację. Obok ziemi krakowskiej i sandomierskiej, zaraz za tym wzorem z Krasnegostawu poszły ziemie bełska (w niej wodził młody i ambitny starosta, Jan Zamoyski – poznaliśmy go już jako autora traktatu o senacie rzymskim) oraz wołyńska. Tu najsilniejsza była szlachta średnia, zaprawiona w bojach sejmikowych i sejmowych o egzekucję dóbr i praw z panami-senatorami. Pierwszą potrzebą, którą konfederacja musiała się zająć był wymiar sprawiedliwości – zwłaszcza w niecierpiących zwłoki sprawach kryminalnych. Sądy, sprawowane w imieniu króla, nie mogły bez króla działać. Trzeba było więc zorganizować sądownictwo tymczasowe, zwane kapturem (czy to od *capere*, czyli łacińskiego „łapać” – oczywiście złoczyńców, czy to od kapturew, noszonych na znak żałoby po królu). Jednak nie tylko o to chodziło w konfederacji, co konieczne dla utrzymania „pokoju pospolitego każdemu stanowi”. Wzorowana na tradycjach, sięgających konfederacji czasu bezkrólewia po śmierci Ludwika Węgierskiego (w 1382 i 1384 roku) oraz niepokoju wewnętrznym w okresie małoletniości Władysława (późniejszego Warneńczyka) – w 1436 i 1438 roku, była odnowiona konfederacja zobowiązaniem i zaręczeniem wzajemnym obywateli danej

ziemi, by bronić wspólnej sprawy. W akcie ziemi bełskiej z 21 lipca ową sprawę definiowano tak: „mocnie stać i trwać w R.P. spólnej Korony Polskiej i Wielkiego Xięstwa Litewskiego” i powstać razem przeciw każdemu nieprzyjacielowi, tak zewnętrznemu, jak i wewnętrznemu, który by chciał Rzeczpospolitą uszczuplić. Zobowiązywali się także skonfederowani obywatele nie uznawać żadnego króla, tylko takiego, który będzie wybrany „podług praw i wolności naszych” i walczyć z każdym, kto by w czasie elekcji chciał bez wiadomości i zgody całego senatu sprowadzić wojsko „z postronnych państw”, albo też w inny sposób spiskował z zagranicznymi potencjami i w ten sposób naruszał „wolną i porządną” elekcję. To były słuszne warunki. Szkoda, że o nich później zapomniano i na ożywione w roku 1572 w Krasnymstawie, Bełzie, Łucku, Glinianach dziedzictwo oddolnego sprzyśiężenia obywateli, powoływać się będą mogli nie tylko zmotywowani do obrony ojczyzny konfederaci tyszowieccy z roku 1655 czy barscy z 1768, ale i targowiccy – pod fartuszkim Katarzyny II szukający obrony „złotej wolności”...

Wracając do czasu bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta, podkreślić trzeba, że istotnym celem Sienickiego i ziemiaństwa województw ruskich było przede wszystkim zapewnienie realnego udziału braci-szlachty w wyborze nowego króla Rzeczpospolitej. Zjazd w Łowiczu wyraźnie sygnalizował możliwość zmarginalizowania stanu szlacheckiego w tym procesie i oddania wszystkich decyzji w ręce panów-senatorów. Pojawiały się również, nie tylko w Łowiczu, ale i wśród senatorów małopolskich, pomysły pozbawienia głosu szlachty nieposiadającej ziemi, służącej panom, i rozbicie w ten sposób „stanu rycerskiego”. Do tego Sienicki dopuścić nie zamierzał. Już na zjeździe w Krasnymstawie rzucone zostało hasło elekcji *viritim*, to jest takiej, w której brałaby udział osobiście, nie przez posłów, cała szlachta, mąż w męża (co właśnie oddaje łaciński zwrot: *viritim*). Wystąpić miał z tym pomysłem sąsiad z bełskiego województwa, Jan Zamoyski. Popierany przez Sienickiego, przypomniał akt konfederacji ruskiej z roku 1436, który miał to równe prawo obywateli – małych i dużych, biednych i bogatych – uzasadniać. Miał ten postulat i ukryte, choć nie głęboko, ostrze geopolityczne: nie pozwolić na wybór kandydata habsburskiego, który mógł uzyskać przewagę w senacie, ale na pewno nie w szlacheckich masach, pełnych – jak zobaczymy – obaw wobec „Miemca” i cesarskich zamachów na wolność stanów. Sejmik ziemi bełskiej zaproponuje nieco później jako formę elekcji – głosowanie kwalifikowaną większością wszystkich uprawnionych.

Do elekcji droga była jednak wciąż niepewna, niejasna, nie wytyczona. Litwa, nad którą dominowało porozumienie najpotężniejszych rodów Chodkiewiczów i Radziwiłłów, trzymała się na razie na dystans. Panowie litewscy myśleli o rozluźnieniu nazbyt ich krępującej unii lubelskiej i wytargowaniu przy okazji elekcji powrotu do Wielkiego Xięstwa tych ziem, które Zygmunt August przyłączył do Korony. Na zwołany przez Firleja zjazd do Knyszyna, opóźniony o dwa tygodnie, przyjechała ich delegacja z marszałkiem wielkim Wielkiego Xięstwa, Janem Chodkiewiczem na czele. Cóż jednak z tego, że na obradach knyszyńskich

była obecna Litwa, skoro pominięta czuła się szlachta, zwłaszcza wielkopolska i mazowiecka. Nie chciała, by to sojusz małopolsko-litewski odbierał jej znaczenie. Katolików dodatkowo zrażała wyraźna przewaga na tym zgromadzeniu protestanckich panów. Również strzegące swej autonomii Prusy Królewskie nie uznały uchwał zjazdu, którego inicjatorem był marszałek koronny. Choć więc Knyszynie ustalono datę i miejsce elekcji: 13 października, Bystrzyca pod Lublinem – ta decyzja została zbojkotowana.

Nadzieje Firleja, by odegrać rolę głównego organizatora elekcji, dodatkowo niweczył wojewoda sandomierski, Piotr Zborowski. Do Knyszyna manifestacyjnie nie przyjechał. Choć też protestant i pan z Małopolski, kierował się bardziej swoimi ambicjami osobistymi i rodowymi niż wyznaniową solidarnością czy „dzielnicowym patriotyzmem”. Chciał być pierwszy w Małopolsce, a nie drugi po Firleju. Liczył również na swe koneksje litewskie – żoną Jana Chodkiewicza była Krystyna Zborowska. Szybciej od Firleja zrozumiał, że aby odegrać główną rolę na opuszczonej przez ostatniego z Jagiellonów scenie Rzeczypospolitej, trzeba pociągnąć za sobą szlachtę, a nie narzucać jej autorytatywnie, choćby i słuszne, zdanie panów-senatorów. Popierał pomysł elekcji *viritim*.

Inicjatywę odzyskał w takiej sytuacji prymas Uchański. Przy pomocy biskupa Stanisława Karnkowskiego przeprowadził naradę senatorów w Kaskach, koło swej prymasowskiej siedziby w Łowiczu. Tam, przez tydzień z górą (25 października – 2 listopada) panowie z Wielkopolski i Małopolski wykazali zdolność do międzywyznaniowego i międzydzielnicowego kompromisu. Jego owocem było uznanie roli prymasa jako *interrex*, zatwierdzenie funkcjonowania sądów kapturowych, a przede wszystkim decyzja, by wszelkie spory dotyczące elekcji rozstrzygnąć na specjalnym sejmie, zwanym konwokacyjnym. Został on zwołany na styczeń roku 1573 do Warszawy. To oznaczało, że nie zjazd senatorów czy szlachty takiej czy innej ziemi, ale „porządnie wybrany” sejm – czyli reprezentacja całej Rzeczypospolitej – będzie miał głos decydujący w tych zasadniczo ważnych sprawach: kto, jak, gdzie i pod jakimi warunkami będzie mógł wybierać wspólnego władcę.

Sejmiki przed konwokacją wrzały nadal sporami i protestacjami (może poza Mazowszem, gdzie w większości katolicka, drobna szlachta przyjęła decyzje senatorów bez oporu). Najsilniej protestował sejmik bełski, pod komendą Jana Zamoyskiego, który dopatrywał się w konwokacji narzędzia przewagi senatu i podtrzymał żądanie, by prawo udziału w elekcji miała cała szlachta, a nie tylko senatorzy czy delegaci sejmu. Zebrana jako pospolite ruszenie w miejscu wyborów, odstraszyłaby potencjalnych agresorów zewnętrznym swą siłą – „w kupie”, jak mówiono – i zarazem zrealizowałaby swoje równe prawo wyborcze. Do wyboru miała by wystarczyć kwalifikowana większość – 2/3 lub 3/4 ogółu zgromadzonych na elekcyjnym polu. Z tymi postulatami Jan Zamoyski wybrany został na posła ziemi bełskiej na konwokację.

Panowie litewscy, z Mikołajem Radziwiłłem „Rudym” na czele, na swoich zjazdach ze szlachtą Wielkiego Księstwa (we wrześniu, w Rudnikach, potem,

w grudniu w Wilnie) myśleli mniej o procedurach, a więcej o skutecznym sposobie narzucenia „koroniarzom” korzystnej dla Litwy rewizji unii lubelskiej. Jeszcze pilniej musieli myśleć o powstrzymaniu groźby wznowienia wojny przez moskiewskiego cara. Rozglądali się za kandydatem na tron, który by gwarantował spełnienie tego, co uważali za litewską rację stanu. Umówić się z takim kandydatem potajemnie i narzucić go następnie „koroniarzom” – to była ich taktyka, kontynuująca stare tradycje ogłaszania najpierw w Wilnie wielkiego księcia, a potem dopiero forsowania go w Koronie na króla – pod groźbą zerwania unii. Chodkiewicz oraz tradycyjnię prohabsbursko nastawieni Radziwiłłowie (pomimo kalwińskiego wyznania „Rudego”), gotowi byli poprzeć arcykatolickiego kandydata z Wiednia, który by spełnił ich warunki. Wyprawili równocześnie – w tajemnicy przed Koroną – posła do Moskwy, Michała Haraburdę, który miał tam przekonywać Iwana Groźnego nie tylko do przedłużenia rozejmu (jego termin wygaszał w końcu czerwca 1573 roku), ale do wysunięcia syna – carewicza Fiodora jako ewentualnego kandydata do polskiego tronu. O uzasadnieniu dla tej moskiewskiej kandydatury będzie jeszcze okazja napisać. Tu wystarczy powiedzieć, że poselstwo Haraburdy wywołało skandal – przynajmniej w oczach panów koronnych, gdy się o nim dowiedzieli. Wtedy Litwini przedstawiali sprawę tylko jako taktyczny manewr, mający odciągnąć Moskwę od myśli o wznowieniu wielkiej wojny przeciw Rzeczpospolitej.

W cieniu takich sporów, intryg i podziałów, pierwszy sejm konwokacyjny zebrał się w święto Trzech Króli, czyli 6 stycznia 1573 roku. Inaczej niż na zwykłych sejmach posłowie obradowali razem z senatorami. Nie wybierali jednego marszałka, tylko co dzień przewodniczył obradom poseł z innego województwa. Dbano o równość głosów, jak umiano. Część posłów nie chciała dyskutować o niczym innym jak tylko o elekcji, utracając w ten sposób projekty reformowania ustroju przygotowywane przez senat. Przewidywały one kluczowy udział senatu we władzy sądowniczej, a także wykonawczej (senatorowie-rezydenci przy królu, zwierzchność nad wojskiem, wpływ na obsadę ministerialnych stanowisk). Leszek Kieniewicz nazwał te formułowane w Łowiczu i Kaskach, i przedstawione pod obrady sejmu konwokacyjnego, projekty wprost „senatorskim programem sięgnięcia po władzę”.

Można się w tym miejscu zastanowić: czy władza nad Rzeczpospolitą skupiona w rękach senatorów, niewątpliwie lepiej (niż sejmikowi wyborcy szlacheccy) przygotowanych do jej sprawowania, mogła okazać się sprawniejsza od systemu zwanego szlachecką demokracją? Zapewne. Tylko już nie dałoby się takiego systemu opatrzyć tym określeniem: Rzeczpospolita, ani tym bardziej – demokracja. Chyba że – „arystokratyczna” czy „elitarna”, co jednak w połączeniu z „demokracją” brzmi cokolwiek paradoksalnie... Posłowie na sejmie konwokacyjnym nie dopuścili w każdym razie do takiego rozwiązania: w imię formalnej równości i wolności całego stanu szlacheckiego. Na anachroniczne w istocie, choć nie-
rzadko stawiane nawet przez historyków pytanie, czy arystokratyczno-senatorski

ustrój uratowałby Rzeczpospolitą przed rozbiorami – nie znajdziemy odpowiedzi. Bo ta droga została w styczniu 1573 roku Warszawie zamknięta.

Zgodzono się na tym sejmie jednak w kilku innych kwestiach. Większość posłów szlacheckich, podobnie jak senatorów (w tym nawet część protestanckich, jak Piotr Zborowski), uznała ostatecznie, że funkcja interrexa będzie sprawowana przez prymasa. Miał on prawo zwoływać w czasie bezkrólewia zjazdy, kierować elekcją, nominować i koronować wybranego kandydata. Marszałkowi wielkiemu koronnemu, jako reprezentantowi świeckiej (akurat w owym czasie protestanckiej) części senatu, pozostawało tylko proklamować – czyli formalnie ogłosić nowego króla. Na „obieranie nowego pana i króla” wyznaczono w dniu 22 stycznia „miejsce pod Warszawą na onej stronie Wisły przy wsi Kamieniu” (czyli dzisiejszej Pradze-Południe). Choć późniejsze elekcje przesuną się z Kamienia na drugi brzeg Wisły, na Wolę – to Warszawa już swej roli wyborczej stolicy Rzeczpospolitej nie straci. Stołeczność swoją powinna więc chyba świętować od 22 stycznia, na pamiątkę decyzji sejmu konwokacyjnego z roku 1573. Wskazanie Warszawy uzasadnione było jej dogodnym, centralnym położeniem, bliskim spojenia Litwy z Koroną, co zresztą było już powodem jej wskazania w unii lubelskiej jako miejsca wspólnych sejmów polsko-litewskich (choć sami Litwini wysyłali listy na konwokację, w których domagali się, by to Parczew w województwie lubelskim, wcześniej tradycyjne miejsce zjazdów Korony z Wielkim Księstwem, był terenem elekcji). To także położenie na skrzyżowaniu dróg z Prus, Wielkopolski i Małopolski, stosunkowo nieodległe również od województw ruskich, przynajmniej Wołynia czy Bełza. W istocie wybór Warszawy dawał przewagę katolikom – bo liczna bardzo mazowiecka szlachta, w ogromnej większości pozostająca przy katolicyzmie, mogła zdominować swą masą elekcję. Mniej wyrobiona w sejmikowej szkole obywatelskiej samodzielności niż szlachta województw małopolskich, zachodniej Rusi czy Wielkopolski, mogła także pozwolić panom z senatu (bardziej tym katolickim właśnie) odbudować ich przeważny wpływ na wybór króla – przez wykorzystanie mazowieckiej „klienteli”. Oczywiście takiego znaczenia pole elekcyjne pod Warszawą nabierało dopiero pod warunkiem, że wybór króla będzie odbywał się na zasadzie *viritim* – a więc powszechnego prawa do głosowania całej szlachty. Komisja powołana na sejmie do opracowania tej kwestii, zaproponowała, by w czasie elekcji delegaci szlacheccy, wybierani w równej liczbie z każdego województwa, wysłuchiwali wspólnie z senatem informacji o zaletach i wadach kandydatów na króla i następnie, po dyskusji w tym gronie, przedstawiali kandydatury szlachcie swojego województwa. Przyjechać na wybory i wziąć w nich udział mieli prawo wszyscy. Zasada *viritim* została uznana 28 stycznia w następującej formule: „Rycerstwo każdego powiatu albo ziemie na elekcyjną należące, którzy przy niej dobrowolnie być chcą, wedle przywileju wolnego obierania pana, zjechać się mają, każdy tu na miejsce złożone elekcyi, do stanowiska swemu województwu przeznaczonego”. Założono, że potrzebna będzie wspólna zgoda co do obranego kandydata. Większość nie wystarczy. Konsens miał być osiągnięty nie

zbrojnie, Boże broń, ale przez dyskusje: argumenty wyrażone „jasnymi a niewątpliwymi racjami mają się ucierać”. By już nie zwlekać długo z wyborem, termin zjazdu elekcyjnego wyznaczono na 6 kwietnia.

Sejm konwokacyjny połączył wszystkie wcześniej zawarte konfederacje lokalne w jeden związek generalny. Głównym celem zawartej w ten sposób konfederacji warszawskiej było utrzymanie obrony granic oraz ładu wewnątrz kraju i elementarnej zgody co do sposobu zakończenia bezkrólewia. Częścią tego problemu, a więc i częścią konfederacji warszawskiej stała się sprawa utrzymania pokoju religijnego. Specjalną uchwałę w tej sprawie przyjęto 28 stycznia 1573 roku. Zaprzysiężono w niej powstać przeciw każdemu, kto by zgodną elekcją próbował zakłócić. Ażeby z powodu sporów międzywyznaniowych „między ludźmi seditio (bunt, zawichrzenie) jaka szkodliwa się nie wszczęła, którą po innych królestwach jawnie widzimy, obiecujemy to sobie spólnie *pro nobis et succesoribus nostris in perpetuum subvinculo iuramenti fide, honore et conscientiis nostris* (za nas i za potomki nasze na wieczne czasy pod węzłem przysięgi, wiary, czci i sumienia naszego), iż którzy jesteście *dissidentes de religione* (rozróżnieni w wierze), pokój między sobą zachować, a dla różnej wiary i odmiany w Kościołach krwie nie przelewać, ani się nie penować *confiscatione bonorum* (karać konfiskatą dóbr), poczciwością (utrata czci), *carceribus et exilio* (uwięzieniem i wygnaniem) i zwierzchności żadnej ani urzędowi do takiego progresu (postępowania) żadnym sposobem nie pomagać...”. Tak brzmi kluczowy fragment tego dokumentu, który po 430 latach wpisany został przez UNESCO na listę *Pamięć świata* – najważniejszych tekstów, jakie wrażliwość moralna i polityczna początku XXI wieku wskazuje z podziwem w dorobku przeszłości. Dla nas ważniejsze jednak jest to, jak na ten akt konfederacji, ustanawiający formalnie zasadę tolerancji religijnej między obywatelami, patrzyli współcześni i skąd on się wziął? O tym jeszcze kilka słów trzeba napisać.

Bezpośrednią pobudką do uchwalenia tego dokumentu, był świeży dowód fatalnych skutków wojny religijnej – echa Dnia św. Bartłomieja z Paryża (wśród nedorzniętych świadków tych okropieństw był m.in. kalwiński uczonek z Polski, Jan Łasicki). Wieści o rzezi protestantów we Francji w końcu sierpnia 1572 roku nabrały nowego znaczenia w Rzeczypospolitej wraz z misją Jeana de Monluc, który w październiku przyjechał znad Sekwany, by przekonywać polską szlachtę do kandydatury królewicza Henryka Walezego. Co zrobić, by uniknąć powtórki paryskiej lekcji nad Wisłą? Jak zabezpieczyć się przed nią, jeśli jednocześnie traktować poważnie kandydaturę francuskiego królewicza, dość powszechnie (choć niesprawiedliwie) uznawanego za jednego z inicjatorów rzezi? To było bardzo praktyczne pytanie. Katolicy byli zainteresowani nim nie mniej niż protestanci. Dlatego w komisji, której sejm powierzył zredagowanie aktu o pokoju między „różniącymi się w wierze”, znalazł się biskup kujawski Stanisław Karnkowski, podkanclerzy i biskup krakowski Franciszek Krasieński i czterej wojewodowie-katolicy, a obok nich trzech senatorów ewangelickich i siedmiu posłów. Karnkowski chciał dopilnować, by tekst konfederacji w tym zakresie nie podkopał zbyt mocno pozycji Kościoła

i katolików. I właściwie cel osiągnął: konfederacja gwarantowała, że beneficja katolickie będą nadawane tylko katolikom, podobnie jak prawosławne – prawosławnym. Chroniła zatem przed ofensywą protestancką „tradycyjne” wyznania. By się nie narazić legatowi papieskiemu, ostro potępiającemu konfederację, ostatecznie Karnkowski jej nie podpisał. Ale biskup krakowski – Krasieński – już tak. Tekst uchwalonego 28 stycznia aktu stał na pewno na drodze odgórnego „konfesjonalizacji” katolickiej, kontrreformacyjnego zapału części episkopatu, a zwłaszcza jezuitów. Ksiądz Piotr Skarga stanowczo skrytykował postanowienia warszawskie w wydanym zaraz po ich przyjęciu dziełku pod wymownym tytułem *Proces na konfederację*. Zagwarantowaną prawnie wolność wyznania uznał za pozwolenie na bluźnierstwo wobec Boga, wstęp do swawoli sumień, zachętę katolików do tego, by nie bronili swojej wiary. Z drugiej strony, co gorliwsi protestanci także byli niezadowoleni.

Akt konfederacji był kompromisem, który wszakże satysfakcjonował zdecydowaną większość posłów. Czy jednak wolno dokonywać kompromisów w dziedzinie wiary? To jedno pytanie. A drugie, które zaraz obok trzeba postawić: czy bez kompromisu może istnieć Rzeczpospolita – czyli rzecz wspólna obywateli? Na sejmie konwokacyjnym wyraźnie przeważała ta druga kwestia. Na pewno w jednym punkcie kompromis cieszył się niemal powszechną akceptacją zgromadzonych na sejmie: w tym mianowicie, gdzie akt konfederacji mówił, że poddanych buntujących się „pod pozorem religii” będzie wolno „skarzać *tam in spiritualibus quam in saecularibus*”. Łacińskie dokończenie zdania tłumaczy się dosłownie tak: „zarówno w świeckich jak i duchownych”. W domyśle pozostaje: czy w „dobrach” (*bonis*) czy w „sprawach” (*rebus*)? A więc będzie można poddanych karać – ale czy po prostu w dobrach (majątkach) tak świeckich, jak i duchownych – czy też, a to wielka różnica – zarówno w sprawach duchownych jak i świeckich. Ta pierwsza interpretacja oznaczała oczywiście dla wszystkich uczestników sejmu zasadę nienaruszalności władzy dominialnej (tak szlachty, jak i dostojników kościelnych) nad poddanymi. Druga interpretacja oznaczałaby, że panowie gruntowi, właściciele ziemscy mogliby faktycznie narzucać własną wiarę – swoim poddanym. Poddani zatem byłiby pozbawieni wolności wyznania. A więc: wolność wyznania i tolerancja religijna tylko między obywatelami – czy też jako model dla całej Rzeczpospolitej? W praktyce bywało różnie. Na Litwie przymus wyznaniowy wobec poddanych był częstszy w dobrach możnowładczych, znamy także jego przykłady w majątkach protestanckich, zwłaszcza bogatszych właścicieli w Koronie. Już jednak szlachta sandomierska zaraz po konwokacji na swoim sejmiku domagała się, by do niejasnego fragmentu konfederacji warszawskiej „dołożone było *tam in bonis* [czyli: w dobrach] ..., a nie o wiarę”. Niedawni badacze tej kwestii, Jan Dzięgielewski i Wojciech Sokołowski dodali do ówjej interpretacji ważki argument źródłowy. Jest nim powtórzone przez sejmik sandomierski w 1587 roku stwierdzenie: „aby warowane [zagwarantowane] beło żebyśmy w majątnościach swych wedle sumienia swego nabożeństwo bez wszelakich czyichkolwiek

turbacyi odprawowali. [...] Poprzestając na tym, gdy każdy od poddanego swego popłaty, roboty i posłuszeństwo mieć będzie nie sprzeciwnie tylko sumieniu jego”. Na co to dowód? Na to, że przynajmniej jakaś część szlachty – i katolików, i protestantów – tak właśnie, zgodnie z duchem wolności sumienia – gotowa była traktować swoich poddanych (choćby i bez sumienia wyciskając ich pot codzienny na folwarku). I to jest wynik oddziaływania aktu konfederacji warszawskiej. Ani mniej, ani więcej, w każdym razie – wyjątkowo w skali Europy. Nawet bowiem, jeśli konfederacja warszawska budziła początkowo silne spory i wątpliwości (episkopat odciął się od niej), to jednak została uznana za prawnie obowiązującą i włączona do zasad ustrojowych, które wybrany król musiał zaprzysiąc. Kwestie „korektury praw” w innych dziedzinach i uzupełnienia pozostawiono do opracowania komisji (m.in. z udziałem Mikołaja Sienickiego i Jana Zamoyskiego), która miała przygotować swe wnioski na sejm elekcyjny.

„Miarą dojrzałości społeczeństwa szlacheckiego było niewątpliwie skoncentrowanie się w pierwszych miesiącach bezkrólewia na problematyce prawnoustrojowej, a nie na osobie kandydata. Wpierw ustalono, jak przeprowadzić elekcję, by nie dopuścić do rozdzielenia społeczeństwa, do wojny domowej i upadku państwa, szukając cierpliwie, choć z trudem, akceptowanego przez wszystkich kompromisu. Zarazem próbowano dopracować się rozwiązań trwałych, nie prowizorycznych, ale wiążących i pożytecznych również dla przyszłych pokoleń. Potem dopiero miał nadejść czas na prezentację kandydatów, na właściwą walkę wyborczą...” – z tą opinią Stanisława Grzybowskiego, najznakomitszego znawcy czasu bezkrólewia, trudno się nie zgodzić.

Po konwokacji przyszła więc pora, by zastanowić się poważnie nad kandydatami do tronu. O nich dyskutowano na odbywających się w całej Rzeczypospolitej w marcu sejmikach przedelekcyjnych. Wiemy już, że od początku bezkrólewia przygotowywana była, popularna zwłaszcza wśród części senatorów litewskich i koronnych kandydatura habsburska. Dwór wiedeński już w ostatnich miesiącach życia Zygmunta Augusta zaczął promować do tej roli arcyksięcia Ernesta, namiestnika Górnej i Dolnej Austrii, syna cesarza Maksymiliana II. Popierany także przez legata papieskiego, z oczywistą intencją wzmocnienia katolickiej tożsamości Rzeczypospolitej, budził on z tego samego powodu twardy opór ze strony części protestantów, z marszałkiem Firlejem na czele, ale także niechętnego związkowi z Habsburgami podkanclerzego i biskupa krakowskiego Franciszka Krasieńskiego. Habsburga nie chciała większość szlachty, niezależnie od wyznania, widząc w nim „Niemca”, a także spadkobiercę tradycji imperialnej, która niszczy wolności stanowe w Czechach, tudzież w podporządkowanej Wiedniowi części Węgier. Ernesta, zwanego dla uproszczenia przez braci-szlachtę „Rdestem”, gotowa była wybrać Anna Jagiellonka, ale pod warunkiem, że elekt pozwoli jej porzucić staropanieński stan i poślubi starszą od siebie o trzydzieści lat polską królową. Siostra zmarłego monarchy cieszyła się wśród szlachty wielkim mirem jako spadkobierczyni jagiellońskiej tradycji, ale kiedy poparła Habsburga – sporo z tego straciła.

Czy Habsburg nie uwikła Rzeczpospolitej w groźną wojnę z Turkiem? Czy nie podporządkuje jej, jak to się stało z Węgry i Czechami, interesom dynastycznym swego rodu i nie przekształci Polski w marchię północną swego „niemieckiego” imperium, a Litwę przekaze w układzie rozbiorowym Iwanowi Groźnemu, nawiązując do bogatej już tradycji umów cesarskich z Moskwą? Takie pytania wciąż się powtarzały.

Nieufność wobec Habsburgów i „Niemców” w ogóle zakorzeniona była w pamięci szlacheckiej i odnawiana od czasów Łokietka, Jagiełły, aż po antyhabsburską propagandę królowej Bony. O tym, że takie obawy nie są wpisywane dopiero przez XIX czy XX-wiecznych nacjonalistycznie nastawionych historyków, ale autentycznym głosem opinii szlacheckiej lat 1572–1573 przekonać się można wertując ogromny tom publicystyki czasu bezkrólewia. Opracowany przez Jana Czubka zbiór blisko stu tekstów – większych druków i mniejszych broszur, kolportowanych także rękopisów, wierszowanych i prozą, wymienianych wśród wyborców owego czasu, zawiera przykłady wręcz zdumiewające pod względem siły tego antyniemieckiego czy szerzej antyzachodniego resentymetu. Łączą się one nierzadko z argumentacją na rzecz kandydatury „Moskiewskiego” (raz dużą, raz małą literą pisanego kandydata z Kremla). Otwiera ich galerię wydana w Krakowie, jeszcze w ostatnich tygodniach życia Zygmunta Augusta, *Oratio ad equites...*, czyli po łacinie napisana przemowa do posłów na sejm, mający się zebrać w roku 1572. Autorem był przyjaciel Andrzeja Frycza Modrzewskiego, szlachcic ziemi sieradzkiej, Andrzej Ciesielski (znawca historii intelektualnej tego czasu, Stanisław Kot, uważał nawet, że pismo faktycznie podyktował tuż przed śmiercią sam Frycz, a Ciesielski dał tylko nazwisko). Przewidując bezkrólewie, autor szukał sposobów zabezpieczenia Rzeczpospolitej. Domagał się wojska zaciężnego – sfinansowanego z sekularyzacji dóbr kościelnych; ustanowienia trybunału, uniezależniającego ostatecznie sądownictwo od króla; umocnienia siły własnych miast przez wysokie cła na importowane z zagranicy towary. Nas jednak najbardziej interesuje to, że na wypadek bezkrólewia radził autor tego pisma, by wybrać młodszego syna cara Iwana Groźnego, Fiodora. Zapewniłoby się spokój od moskiewskiej strony, można by wspólnie zmiażdżyć Turka. Dalej rozciąga się fantastyczna wizja: Iwan odstąpiłby przy okazji Rzeczpospolitej nie tylko Połock, ale także całe Inflanty, Smoleńsk, a nawet Psków i Nowogród. Autor tego pisma nie był jeszcze absolutnym wrogiem kandydatury habsburskiej – ją traktował jako rezerwową, gdyby nie udał się piękny plan z Moskwą.

Dalej poszedł w swoich wizjach Piotr Mycielski, pisarz polityczny z ziemi kaliskiej, należący do zboru braci czeskich. Przetawił swoją argumentację w dwóch pismach: *Sentencyicuiusdam de electioneregis Polonorum...* (Zdaniu o wyborze króla Polaków...) oraz wydanej w styczniu 1573 roku *Przestrodze z pokazaniem niepożytków z wzięcia pana z pośrodku siebie*. Ta ostatnia to już prawdziwy festiwal motywów, które można nazwać wręcz antyzachodnimi, zapowiadających zgubne wpływy nie tylko „Niemca”, ale w ogóle „panów zachodnich” (a więc nie

tylko Habsburga, ale i Francuza). Autor tak uogólnia swą krytykę: *gens occidentalis* (ludzie zachodni) żywią oczywisty dla nich *contemptus* – czyli pogardę – dla narodu polskiego, uznawanego przez nich za barbarzyński, podczas gdy sami uważają się za mędrców i naturalnych panów „wschodnich dzikusów”. Przybyli z kandydatem zachodnim dworacy i kupcy – jakiś „pan Hanus abo senior Francisco” – wykupiliby polskie majątności, wprowadzili drożyznę, która całym ciężarem zwałiłaby się na miejscowe, polskie obywatelstwo. Wreszcie rozpowszechniliby wśród Polaków swoje fatalne, zachodnie obyczaje: niedotrzymywanie przysięg, lekceważenie dobra publicznego, a przede wszystkim „wszetczość”, stręczycielstwo, cudzołóstwo i *peccati contra naturam* (grzechy przeciwne naturze). Przed tym właśnie upadkiem miałyby ratować kandydat moskiewski. Zysk byłby tym większy, że energia militarna, którą wykazuje „Moskiewski”, nie zagrażałaby już Litwie, tylko odnowiłaby ducha rycerskiego w samej Polsce. Również determinacja, jaką car wykazuje w karaniu zdrajców („oprycznina”, o której okropieństwach pisaliśmy w poprzednim tomie), przydałaby się i Rzeczypospolitej, odnawiając szacunek dla własnego państwa, np. przez skrócenie o głowę spiskujących z obcymi dworami senatorów.... Silną ręką złamałby też taki pan z Moskwy na polskim tronie separatyzmy pruskie, pomorskie, inflancki, a nawet litewski. Odzyskać można by wreszcie ziemię śląską, utraconą od czasów Łokietka. Tyranii u nas „moskiewski” nie wprowadzi – tłumaczył autor – bo to byłoby przeciw naturze Polski. Przeciwnie, polskie obyczaje na pewno by mu zaimponowały i przyciągnęły do naszej ogłady... Zdumiewające, jak głębokie korzenie ma ta myśl, która stale wraca w polskiej refleksji nad własnym położeniu między Wschodem a Zachodem: pogardzający nami Zachód („Niemiec” czy „Francuz”) grozi nam materialnym wyzyskiem i duchowym podbojem, zarażając zarazem swoją moralną zgnilizną, a tymczasem my wobec Wschodu, „grubego Moskwicina”, możemy naturalnie odegrać rolę cywilizatorską, która ten zapewne chętnie przyjmie... Z jednej strony cywilizacyjny, jeśli można tak powiedzieć lęk czy kompleks, w drugą stronę – poczucie własnej kulturowej wyższości, niedocenywanie siły odrębnej, historycznej, religijnej i politycznej tożsamości wschodnich sąsiadów.

Do podobnych głosów odnosiła się trzeźwa riposta jednego z obrońców kandydatury Habsburga: „Moskiewski” nie tylko nie nawróci się na nasze obyczaje i polityczną kulturę, które przecież sobie ceni, ale wprowadzi do nas swój despotyzm, a też wykorzystać będzie mógł i podburzyć przeciw Rzeczypospolitej zamieszkujące ją „ludy swojej wiary i języka” – czyli prawosławnych Rusinów. Jak widać i w takiej postaci pojawiała się w debacie politycznej 1573 roku całkiem wyraźna identyfikacja zagadnienia narodowej tożsamości, odniesiona tutaj do możliwości wykorzystania jej podstawowych elementów – religii i języka – do wielkiej dywersji politycznej ze strony prawosławno-ruskiego imperium Moskwy. Jednak nie tyle, a w każdym razie nie tylko argumenty wymieniane na piśmie, ale przede wszystkim gra polityczna z udziałem samych kandydatów (a raczej ich reprezentantów w Polsce i na Litwie) decydowała o ich powodzeniu lub

niepowodzeniu. O załamaniu szans kandydatury moskiewskiej zdecydował sam Iwan Groźny. Owszem, sam taktycznie wysuwał już kilka lat wcześniej, jeszcze na progu wojny o Inflanty, swoją kandydaturę do ręki siostry Zygmunta Augusta – co ukazało szlacheckiej opinii możliwość takiego, pokojowego, rozwiązania kwestii niebezpiecznego sąsiedztwa z Moskwą. W 1573 roku nie był jednak zainteresowany elekcyjnym tronem w Polsce. Ostentacyjnie zlekceważył wspomniane wcześniej poselstwo litewskie Haraburdy. Nie zamierzał ubiegać się o tron, Lachy i Litwa mogą kornie go prosić o taka łaskę, by nad nimi panował. Swojego poselstwa na sejm elekcyjny Iwan w ogóle nie wysłał. Haraburda miał tylko przekazać, że car zgodzi się być królem, ale tylko pod warunkiem, iż Litwa i Korona zostaną włączone do jego państwa, pod dziedzicznym berłem prawosławnego władcy. Jakby to panom-szlachcie nie odpowiadało, to zadowoli się samą Litwą, która powinna „wrócić” do Moskwy. Stanowczo Iwan żądał od razu oddania mu Inflant aż po Dźwinę oraz Kijowa. Zabrał w ten sposób car cały animusz licznym zwolennikom swojej kandydatury.

Była ona popularna przede wszystkim jako narzędzie zablokowania Habsburga. Skoro traciła grunt, trzeba było szukać gdzie indziej ratunku przed „Niemcem” dybiącym na stanowe wolności. Była więc jeszcze rozważana poważnie możliwość elekcji pretendenta z północnego brzegu Bałtyku: króla Szwecji Jana III. Silną stroną tego kandydata było jego bliskie powinowactwo ze zmarłym Jagiellonem. Jak pamiętamy, Jan III, jeszcze jako królewicz szwedzki, poślubił siostrę Zygmunta Augusta, Katarzynę, za zgodą jej brata i doczekał się z tego małżeństwa syna, Zygmunta. Późniejszy Zygmunt III na polskim tronie miał dopiero 6 lat, więc na razie to jego ojciec, szwedzki król, zatwardziały protestant do tego, był jedynie realnym kandydatem ze Szwecji. Jagiellońskie koneksje były w oczach wyborców istotne, podobnie jak możliwe korzyści z sojuszu przeciw Moskwie we wznowionej właśnie przez Iwana wojnie o Inflanty czy myśl o korzyściach ze wspólnej dominacji nad Bałtykiem. Luteriańskie wyznanie króla Szwecji nie tylko nie przeszkadzało, ale pomagało jego kandydaturze w oczach części wyborców – tej protestanckiej, przynajmniej tej reprezentowanej przez marszałka Jana Firleja czy dzielnego wojewodę podolskiego, Mikołaja Mieleckiego, wówczas jeszcze gorliwego wyznawcy nauk Kalwina. Popierali Jana III również senatorowie z Prus Królewskich. Dla większości szlachty, zwłaszcza tej mazowieckiej, katolickiej, ale także oczywiście dla katolickich senatorów (duchownych i świeckich) – to nie była jednak przekonująca kandydatura. Tym bardziej, że już w tym momencie wysuwano trafny zarzut wobec wyboru monarchy władającego już innym państwem: „Kiedy Pana nie widzą, on w inszym królestwie: / Szukaj sprawiedliwości aż po inszym państwie!” Taki król byłby przecież raczej pilnował swego dziedzicznego tronu w Sztokholmie i więcej temu poświęcał uwagi niż interesom Rzeczypospolitej i dobru jej obywateli...

Kto więc pozostawał? Rozważano i Piasta. Żyli jeszcze przedstawiciele starej dynastii w jej zniemczonej już gruntownie linii śląskiej. Nawet Zygmunt August

wspominał o możliwości wyboru po swojej śmierci księcia legnicko-brzeskiego Fryderyka – ten jednak zmarł w roku 1570, a jego syn, Henryk XI nie był już traktowany poważnie. „Piast” więc zaczął oznaczać kandydata rodzimego po prostu, czyli z polskiego rodu. Najpierw mówiono o marszałku Firleju w takiej roli (choć ten chyba szczerze opowiadał się za szwedzkim królem), potem wystąpią jeszcze inni potencjalni „Piastowie”, m.in. kasztelan biecki Stanisław Szafraniec czy kasztelan gdański, Jan Kostka. Realnych szans raczej nie mieli. Jak mieliby się pogodzić z ich wyniesieniem przedstawiciele innych, znaczniejszych jeszcze, senatorskich rodów? To pytanie będzie się powtarzało przy każdym „Piście” w kolejnych elekcjach. Już jednak w czasie tej, pierwszej elekcji, pojawiło się inne jeszcze, interesujące zastrzeżenie: „Prusowie, Ruś i Litwa” – nie zechcą „Piasta”-Polaka. „Czują się ty narody, równemu nie dadzą, / By im miał rozkazywać, mieć nad nimi władzą...” – tak właśnie, w wierszowanej *Rozmowie Lecha z Piastem* (napisanej przez zwolennika Habsburga) wypowiedziana została dumna świadomość narodowej odrębności elit przynajmniej nie-polskich części składowych Rzeczypospolitej. Polakowi nie zechcą się podporządkować, bo zamiast Rzeczypospolitej byłoby polskie imperium.... Czy zatem w poszukiwaniu równości swych składowych elementów, wielka szlachecka wspólnota skazana była na cudzoziemskiego pana, na kandydata z zewnątrz?

Tak to się w każdym razie układało w wyobraźni politycznej zdecydowanej większości wyborców roku 1573. Trafił do niej niezwykle umiejętnie rzecznik kandydata z Francji, wytrawny dyplomata Jean de Monluc. Tytularny, lecz raczej niezbyt pobożny biskup południowofrancuskiej diecezji Valence (często w mylący sposób przedstawiany w naszej historiografii jako biskup hiszpańskiej Walencji), miał za sobą już blisko półwiekową, niezwykle efektywną służbę w dyplomacji francuskiej, od Irlandii i Szkocji do Turcji, kiedy przybył do Polski, by reprezentować kandydaturę księcia Henryka d’Anjou, „Księżę Gaweński” (czyli andegaweński), z „familii Walesów” (Walezycy, czyli rodu Valois, panującej od XIV wieku we Francji bocznej linii Kapetyngów) – tak nazywano w Rzeczypospolitej zachwalanego przez Monluca młodszego brata francuskiego króla. Henryk Walezycy został nam już tutaj przedstawiony jako uczestnik konfliktu wewnętrznego w jego królestwie, skumulowanego w rzezi w Dniu św. Bartłomieja. Miał wtedy 21 lat, ale nie był niedoświadczonym chłystkiem. Do sprawowania monarszej roli przygotowywał się praktycznie, m.in. jako generalny namiestnik królestwa, uczestnik Rady Królewskiej, bardzo pilnie odpracowujący godziny urzędowej korespondencji, ale także jako sprawdzony w polu wódz – co prawda w bitwach wojny domowej z hugenotami. Jako kandydat do tronu w Polsce po Zygmuncie Augustie był wskazywany przez dwór francuski jeszcze za życia ostatniego Jagiellona. Nieoficjalne misje, najpierw Jana Krasowskiego, ulubionego króla dworu francuskiej królowej-matki, Katarzyny Medycejskiej, a potem naturalnego syna Monluca – Jeana de Balagny – zbierały już w ostatnich tygodniach życia Zygmunta Augusta wpływowe głosy na rzecz wyboru Henryka. Dla Francji obsadzenie

tronu w Rzeczypospolitej byłoby istotnym wzmocnieniem jej pozycji w rozgrywce z Habsburgami o przewodnictwo w Europie. To był jeszcze moment, kiedy kandydat francuski wydawać się musiał dogodny nawet dla zagorzałych protestantów, dla których największym złem był Habsburg. Skłaniał się ku Henrykowi klan Zborowskich – wojewoda sandomierski Piotr i jego pięciu braci. Popierał „Gaweńskiego” również kanclerz Dembiński. Po dokonanej 24 sierpnia 1572 roku rzezi hugenotów w Paryżu pozycja Henryka w Polsce mogła być uznana za „spaloną”. Zwolennicy Habsburga przedstawiali teraz rzeczywiście kompromisową w sprawach religijnych politykę cesarza Maksymiliana jako gwarancję, że pod rządami jego syna, Ernesta, Rzeczypospolitej nie zagrozi takiego okropieństwo, jakie zapowiadał udział w rzezi innowierców, przypisywany Henrykowi. Biskup Monluc nie zrażony całkiem tą trudnością, ruszył zwawo do Polski. I równie energicznie zaczął po przyjeździe, jesienią 1572 roku, akcję propagandową, która miała udowodnić (w sposób bliski prawdy zresztą), że Henryk Walezy nie tylko nie brał udziału w rzezi, ale próbował przeciwstawić się jej i ratował, kogo mógł. Trudno było jednak zaprzeczyć, że kiedy francuski dyplomata zachwalał swojego faworyta, ten akurat dowodził oblężeniem (zresztą bardzo dzielnie) głównej twierdzy hugenotów, atlantyckiego portu w La Rochelle.

Monluc jednak dokonywał cudów zręczności. Hojny w obietnicach, po cichu przekonywał Radziwiłłów, stojących za kandydaturą habsburską, że Walezy zapewni im to samo, czego oczekują od Ernesta: czyli zwrot Litwie ziem przekazanych Koronie przed unią lubelską. Podobnie próbował trafić do serca Anny Jagiellonki i obiecywał jej, że młodszy od niej o 28 lat przybysz z Francji poślubi ją z taką samą ochotą, jaką agenci Habsburga deklarowali już w imieniu arcyksięcia Ernesta. Oczywiście solennie zapewniał protestantów, że jego pan nie będzie w niczym ograniczał ich praw, a gdyby nawet mu teraz nie uwierzyli, to niech wezmą pod uwagę, że z dalekiej Francji nie ściągnie tak łatwo armii do narzucenia swej woli Rzeczypospolitej, jak może to zrobić Habsburg, przez granicę na Śląsku... Lepiej wybrać dalekiego niż takiego bliskiego sąsiada, który Rzeczypospolitą może po prostu potraktować jak przybudówkę swej właściwej imperialnej władzy... Te argumenty trafiały. Miał jeszcze Monluc całe naręcze innych, konkretnych obietnic. Zapewnił nawet polskich ewangelików, że zasady tolerancji religijnej, które wywalczyli u siebie w domu, można będzie „eksportować” do Francji, kiedy tylko uczyni się ich akceptację warunkiem wyboru Henryka Walezego. Mówił też o wiecznym przymierzu z Francją, polegającym na pomocy tak dyplomatycznej, jak i militarnej, zaciężną piechotą – dla Rzeczypospolitej (ta z kolei miała wspierać w potrzebie Francję swoją kawalerią). Na wojnę z Moskwą miał kandydat francuski wystawić 4 tysiące gaskońskiej piechoty – a Gaskończycy już wtedy, a nie dopiero od czasu *Trzech muszkieterów* Aleksandra Dumas i opowieści o dzielnym d’Artagnanie słynęli z bitności. Miał dalej wysłać flotę francuska na Bałtyk, m.in. po to, by pozwolić na rozwój handlu kupców polskich z królestwem swego brata i jego zamorskimi przyczółkami w Nowym Świecie: „by towary gdańskie szły

przez Bałtyjskie morze aż do oceanu”. Monluc zapowiadał uroczyście, że po wyborze Henryk nie tylko spłaci długi po zmarłym Zygmuncie Auguście, ale będzie dawał ze swych dóbr we Francji zawrotną sumę 450 tys. florenów rocznie na potrzeby Rzeczypospolitej. Były i obietnice dotyczące nauki: Uniwersytet Krakowski mieli zasilić uczeni zagraniczni, a król miał opłacić kształcenie stu Polaków na Sorbonie. Byłoby wspaniale, gdyby to wszystko się spełniło. Ale niektórzy, zwłaszcza zwolennicy Habsburga, wątpili: „Siła obiecujecie radzi, Francuzowie [...] / Coście kiedy spełnili, coście obiecali? [...] Francuskie obietnice, wierzcie, żeć są śmieci. / Rychlej więc nimi łowią, zatym patrzą czasu, / Tym, co miód obiecują, dawają im kwaśu...” – przestrzegał zbierających się na elekcję anonimowy autor *Rozmowy Lecha z Piastem*.

Po dwóch dniach postów i nabożeństw, oczywiście różnych wyznań, po wielkiej mszy, odprawianej przez prymasa Uchańskiego, 5 kwietnia 1573 roku zaczął się sejm elekcyjny. Pierwszy taki w historii Polski i Rzeczypospolitej. Pod Warszawą, wokół wsi Kamień zjechało się 40 do 50 tysięcy wyborców. Przybyli ze wszystkich województw Polski i Litwy, choć na pewno bez zachowania proporcji między nimi. Najwięcej było, co naturalne, okolicznej szlachty mazowieckiej, przeważnie katolików. Razem ze służbą „najechało” na ledwie co przekraczającą 10 tysięcy mieszkańców Warszawę ponad 100 tysięcy ludzi. W proporcji to tak, jakby dziś do Warszawy zjechało naraz 17 milionów... Widok musiał robić wrażenie. Sekretarz poselstwa Monluca obserwował codzienny przejazd wyborców z Warszawy na miejsce elekcji – przez oddany do użytku właśnie 5 kwietnia owego roku cud architektury użytkowej: blisko czterystumetrowy most Zygmunta Augusta na Wiśle. „Ze zdumieniem każdy co rano patrzył się na wspaniałą widok około pięćdziesięciu tysięcy jeźdźców na dzielnych rumakach ciągnących w szyku wojennym...”

Nie na wojnę ciągnęli, ale na wolne wybory. Jak im się ta sztuka udała, że się jednak nie pobili, a wyboru dokonali, w takiej masie? Każdy wojewoda stawiał dla szlachty swego województwa osoby namiot, jakby sejmikowy. W centrum stał najbardziej okazały namiot, zwany szopą, zdolny pomieścić nawet 5 tysięcy ludzi. Tam obradowali senatorzy, wokół nich posłowie ziemscy wydelegowani przez województwa – po 10 z każdego. I tam wysłuchiowano poselstw reklamujących poszczególnych kandydatów. Tam się naradzano. Debatowano najpierw nad formą głosowania: czy przez deputatów, czy też wszystkich „w kupie”, jak wtedy mówiono. Ten drugi sposób, jako bardziej demokratyczny, choć na pewno mniej praktyczny, wygrał, wsparty argumentami m.in. przez Jana Zamoyskiego. Demokratyczna „kupa” wygrała z podejrzanie elitarną „szopą”. Głosować mieli więc wszyscy przybyli na elekcję, każdy w swoim wojewódzkim namiocie. I mieli dojść do jednomyślności, do zgody, bez użycia broni innej niż argument.

Pierwszemu z obcych poselstw pozwolono wystąpić legatowi papieskiemu, który naturalnie apelował o wybór katolika. Miał na myśli Habsburga, a gdyby ten nie miał szans – Francuza. Kandydaturę Ernesta Habsburga przedstawiał

Wilhelm z Rożemberku, wielki burgrabia królestwa czeskiego. Ernesta popierała większość biskupów i katolickich senatorów, a także litewskich panów. Cóż, kiedy masom szlacheckim, a zwłaszcza protestanckim, ten kandydat był niemiły. Już prędzej podobał im się sam, przemawiający w swojskim czeskim języku Wilhelm. Część zgromadzonych na polu pod Kamieniem gotowa była nawet zrobić z niego kandydata – „Piasta”. Wilhelm jednak pozostał lojalny wobec habsburskich panów. Występujący po nim Monluc potrafił porwać elektorów swoją mową, a także swoimi – znanymi nam już – obietnicami. Wygłoszony po łacinie tekst kazał wcześniej przetłumaczyć na polski i rozkolportować z góry (w nakładzie półtora tysiąca egzemplarzy) wśród wyborców, którzy wymowy posła mogli nie zrozumieć. Znał się na sztuce wyborczej ten dyplomata lepiej niż jego rywale. Na pewno lepiej niż Iwan Groźny, który tylko w relacji litewskiego posła Haraburdy przedstawił arogancko swoje nierealne warunki. Posłowie szwedzcy też nie zdobyli głosów. Kandydatury „Piastów” zostały, poza Wilhelmem z Rożemberku, ośmieszono. Stopniowo francuski kandydat wyłaniał się jako faworyt, najbardziej spełniający warunki kompromisu, który trzeba osiągnąć w podzielonym kręgu wyborców. Był katolikiem, ale – jak zapewniał Monluc (i wojewoda Piotr Zborowski) – mniej groźnym dla protestantów niż Habsburg. Miał wspomóc militarne zdolności Rzeczypospolitej, ale bez groźby uwikłania jej w niepopularną wojnę z Turcją – znów: inaczej niż kandydat z Wiednia, który kojarzył się z wieczną wojną cesarza z sułtanem. Cieszył się imponującym autorytetem najstarszej w Europie dynastii, a jednocześnie – inaczej niż Habsburg czy Iwan (a może nawet i spowinowacony z Jagiellonami Szwed) – wydawał się mniej grozić podporządkowaniem Rzeczypospolitej interesom swojego rodzimego kraju: bo był daleki, a nie sąsiedzki.

Dyskusje w senatorskiej „szopie” zakłócił stanowczy protest marszałka Firleja. Rozgorzyczony swoją podwójną klęską – jako rzecznika Szweda i jako niedosłego „Piasta” – przyłączył się teraz do rozbitej „partii austriackiej”. Jego celem było przede wszystkim wymuszenie na przeważającym teraz kandydacie francuskim przyjęcia twardo sformułowanych warunków, które miały zagwarantować swobody ustrojowe przed zamachami absolutyzmu i religijne wolności – przed nietolerancją. 8 maja Firlej i jego zwolennicy, w większości protestanci opuścili miejsce elekcji i obwarowali się w niedalekim Grochowie. Zapachniało prochem, w każdym razie rozbiciem elekcji. Odbywające się następnego dnia po wojewódzkich namiotach wybory przyniosły tymczasem zdecydowane zwycięstwo Henrykowi Walezemu. Zamiast walki na ostre rozpoczęto negocjacje Kamienia z Grochowem. Firlej podporządkował się większości, dla dobra Rzeczypospolitej – rzeczywiście tak było, byli tacy politycy... Przeworsował tylko warunek, by w zbiorze artykułów, które ma zaprzysiąc nowy król, była zasada pokoju religijnego z konfederacją warszawskiej. Prymas Uchański zdążył już 11 maja obwołać Henryka Walezego królem-elektem, ale negocjacje nad ostatecznym zredagowaniem warunków dla Henryka toczyły się w senatorskiej „szopie” jeszcze kilka dni.

13 maja senat i reprezentanci szlachty, z wyjątkiem większości biskupów, „stwierdzili konfederację [...], podpisali ją, pieczęciami umocowali i włączyli do przysięgi królewskiej” – jak to zanotował kronikarz bezkrólewia, luteranin Świętosław Orzelski. Dwaj biskupi – krakowski, Franciszek Krasiniński oraz kamieniecki, Dionizy Secygniowski – ten akt jednak zaaprobowali. Do 16 maja trwały negocjacje z poselstwem francuskim nad przyjęciem spisu tych obietnic, które Monluc już przedstawił w imieniu swojego kandydata i jego brata, króla Francji. To były tzw. *pacta conventa*, przedstawione już przez nas wcześniej w swej konkretnej treści: od sojuszu dyplomatyczno-militarnego z Francją, po wymianę studentów i uczonych między Sorboną i Uniwersytetem Krakowskim oraz zakaz sprowadzania i utrzymywania na królewskim dworze cudzoziemców.

Jednocześnie doprecyzowano brzmienie ważniejszego dokumentu, jaki miał obowiązywać każdego wybieranego w Rzeczpospolitej króla. Od imienia pierwszego, który miał je przyjąć, nazwano je artykułami henrykowskimi. To była w istocie konstytucja ustroju, który król przysięgał szanować. Tak właśnie, jako pierwszą ustawę zasadniczą w naszej historii, określa ją Andrzej Sulima Kamiński, znawca i miłośnik staropolskiego republikanizmu. Wedle mojej rachuby, artykuły henrykowskie były w istocie drugą tej rangi konstytucją – po tej uchwalonej 30 maja 1505 roku, znanej pod nazwą *Nihil novi* (kto ciekaw uzasadnienia, sięgnąć może po poprzedni tom tych *Dziejów*), a przed tą, jaką świętujemy do dziś, wspominając akt 3 maja 1791 roku. Artykuły henrykowskie także ostatecznie zostały przyjęte w maju – dokładnie 16 maja 1573 roku. Wszystkie więc nasze ustawy zasadnicze w Rzeczpospolitej były – majowe. Ta rozwijała i uszczegółowiała fundamentalne zasady ustrojowe, jakie nawarstwiły się przez kolejne już ponad dwa wieki szlacheckiej walki, od śmierci Kazimierza Wielkiego, o prawa i przywileje. Przygotowała ją specjalna komisja, powołana 20 kwietnia na sejmie elekcyjnym z przedstawicieli senatu i szlachty ze wszystkich województw. Pierwotnym jej celem było opracowanie sposobów „naprawienia nadużyć w prawie”, ostatecznie jednak po wewnętrznych sporach zdecydowano się jedynie spisać artykuły mające „ocugłować”, to jest określić granice królewskiej władzy. Wyliczono zatem, że Rzeczpospolita ma pozostać monarchią elekcyjną, wybrany w wolnej elekcji król nie może używać tytułu dziedzica; wypowiadać wojnę i zwoływać pospolite ruszenie (nadal nie wolno było wyprowadzać go poza granice kraju, chyba że za specjalną opłatą), a także nakładać podatki, cła i ustanawiać monopole – może tylko za zgodą sejmu. Z kolei tylko w porozumieniu z senatem może król prowadzić politykę zagraniczną oraz wybierać sobie małżonkę. Sejm musiał być zwoływany co najmniej raz na dwa lata, ale nie dłużej niż na sześć tygodni. Na mocy artykułów henrykowskich utworzono funkcję senatorów-rezydentów. Miało ich być 16, wybieranych na dwa lata, z których stale czterech (biskup, wojewoda i dwóch kasztelanów) mieli być przy królu, zmieniając się w swym składzie co kwartał. Zakazano królowi powoływania nowych urzędów. Szlachta natomiast zyskała nowy przywilej: prawo do kruszców na jej prywatnych gruntach – wcześniej wszystko,

co leżało głębiej niż sięgał pług, było własnością królewską. Potwierdzono zarazem stare prawo „obywateli obojga narodów” do wypowiedzenia królowi posłuszeństwa (prawo *de non praestanda oboedientia*) w przypadku, gdyby monarcha naruszył prawa i przywileje. I wprowadzono do artykułów henrykowskich, po twardym boju stoczonym przez marszałka Firleja i większość protestanckiej braci, artykuł konfederacji warszawskiej o obowiązku utrzymywania pokoju między „rozdzielnymi w wierze”. Tak stanowiła ta swoista konstytucja.

16 maja, po zaprzysiężeniu przez poselstwo francuskie warunków wymienionych w paktach konwentach (dodano do nich również zobowiązanie poślubienia przez Henryka Anny Jagiellonki) oraz artykułach henrykowskich, Jan Firlej, jako marszałek wielki, zgodnie ze swymi uprawnieniami proklamował wybór nowego króla. Jak się zaczęło, tak również skończyło uroczystą mszą – w kolegiacie św. Jana w Warszawie, gdzie obok katolików zasiedli zgodnie ich protestancy współobywatele. Wrażenie cudu musiało być mocne. Blisko 50 tysięcy wyborców, radzących przez 6 tygodni, w większości rozlokowanych przez ten czas w ciasnych i niewygodnych kwaterach, reprezentujących różne wyznania, interesy i tożsamości lokalne (niekiedy nawet można powiedzieć: narodowe) – dokonało jednomyślnego wyboru! Tylko czy można liczyć na regularne powtarzanie cudu?

Prof. zw. dr hab. Andrzej Nowak (ur. 1960 w Krakowie) – historyk Rosji i Europy Wschodniej, badacz historii porównawczej imperiów, sowietolog, publicysta. Prof. zw. w Instytucie Historii PAN, kierownik Zakładu Historii Europy Wschodniej na UJ. W okresie stanu wojennego współpracownik pism „drugiego obiegu”; red. naczelny „Arki” (1991–1994), współzałożyciel i red. naczelny „Arcanów” (1994–2012); obecnie redaktor *emeritus*. Autor ponad 20 książek nt. historii Polski i Rosji, ostatnio m.in.: *Dzieje Polski t. I, II, III i IV* (2014, 2015, 2017 i 2019); *Putin: źródła imperialnej agresji* (2014); *Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement* (2015). Wykładał historię Europy Wschodniej na uniwersytetach amerykańskich (Rice, Harvard, Columbia), brytyjskich (Cambridge, University College London), kanadyjskich (University of Toronto, McGill, Simon Fraser, University of Alberta), a także m.in. w Dublinie, Tokio i Brnie. Laureat m.in. nagród Klio (1995 i 2001), Nagrody Strażnik Pamięci (2014), Nagrody im. Jerzego Giedroycia (2012), a także Wacław Jędrzejowicz History Medal, przyznawanego przez Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.